Nr. 8. Lwów, Piątek dnia 27. kwietnia 1894. Rok II.

NOWY ROBOTNIK

Czasopismo polityczno-społeczne.

Organ partyi socyalno-demokratycznej.

Warunki prenumeraty:

W miejscu: rocznie 1·20; półrocznie 60 ct.; kwartalnie 30 ct. — W miejscu z odsełką do domu, kwartalnie 35 ct.

Na prowincyi: rocznie 1·50; półrocznie 80 ct.; kwartalnie 40 ct.

Do Niemiec: rocznie 3 marki.

Do Francyi: rocznie 6 franków.

Numer pojedyńczy **6** ct.

Reklamacye nieopieczętowane wolne są od opłaty.

Redakcya, administracya i ekspedycya **ul. Wałowa l. 15 I. p.** (wchód także z ul. Sobieskiego l. 18.

Wszelkie przesyłki adresować należy: **Kornel Żelaszkiewicz ul. Ubocz l. 3.**

Listów niefrankowanych nie przyjmuje się. — Rękopismów nie zwraca się.

Pojedyńcze numera nabywać można w Biurach dzienników p. Plona, ulica Karola Ludwika i p. Olszewskiego, ulica Kilińskiego.

Wydawca: **Antoni Mańkowski.** **Wychodzi drugiego i czwartego piątku każdego miesiąca.** Odpowiedz. redaktor: **Józef Hudec.**

Międzynarodowa solidarność.

Znowu więc witamy radośnie święto nasze, święto 1. maja. Świadomość, że dzień ten coraz większego nabiera znaczenia, a w szerokich kołach proletaryatu z prawdziwym pietyzmem obchodzonym bywa — napełnia serca nasze serdecznem zadowoleniem i dumą. Dziś stała się uroczystość ta, w najszerszem znaczeniu — wyrazem wspólności interesów i jedności całego proletaryatu. W dniu tym uświadamia sobie proletaryat swe historyczne zadanie, jakie ma do spełnienia. Objawia on swoje dążenia i cele, w przeciwstawieniu do dążeń i celów klas posiadających. Jest to także dzień radości i nadziei. Dziwnie rozrzewnieni, przenosimy się w dniu tym myślą w owe czasy, kiedy ideały nasze znajdą realną formę bytu...

Czem jest bowiem osławiona, obecna cywilizacya? Konkurencya między przedsiębiorcami z jednej strony, a między głodnymi konsumentami z drugiej, także nienawiść między narodami — oto jej smutne rezultaty!

Żyjemy w epoce, w której kilkanaście milionów ludzi, silnych, młodych odrywa się od produkcyjnej pracy, zmusza przygotowywać do bratobójczej walki, w epoce, w której sam militaryzm miliony pochłania. Oto skutek ekonomicznej i politycznej walki konkurencyjnej państw. Jakie jest stanowisko proletaryatu wobec tych faktów? Nie zważając na antagonizm, na konkurencyę burżuazyi — głosi on jedność i połączenie sił pracujących wszystkich narodów. Proklamuje solidarność proletaryatu wszystkich ludów! Uroczystość więc majowa będąc manifestacyą wszystkich dążeń proletaryatu — musi zatem mieć charakter międzynarodowy. W dniu tym też zacierają się linie graniczne krajów, znika antagonizm narodów — jedna wspólna myśl opanowuje świat pracujący, równem tempem biją serca wszystkich! Dzień ten głosi braterstwo ludów!

Rozmaitym koalicyom, trójprzymierzom przeciwstawia proletaryat międzynarodową, solidarnie do rozwoju swego zdążającą armię pracy, która w dniu 1. maja odbywa przegląd swych sił! Klasy panujące uzbrajają się i łączą, chcąc Europę w jedno pole walki zamienić, lecz robotnicy dwóch światów podają sobie również dłonie, wypowiadając wojnę wojnie! Ta właśnie pokojowa tendencya stanowi siłę ogromną ruchu socyalistycznego. Jedna okoliczność nadaje uroczystości 1. maja specyalne znaczenie: obok międzynarodowej solidarności proletaryatu, wielkie postępy zrobiło też przeświadczenie, że do walki o wolność wraz z mężczyzną wystąpić musi i kobieta; wspólnie walczyć, by wspólnie zwyciężyć, a zwycięstwo to będzie udziałem całej ludzkości! Z chwilą uczestnictwa kobiet w tym ruchu, stał się on niezwyciężonym, wzrosła w dwójnasób jego siła. Odpada też ostatnia nadzieja burżuazyi, która w kobiecie widziała hamulec dla ruchu socyalistycznego. Połączeni zdobędą świat, zgotują ludzkości przyszłość lepszą, piękniejszą.

Eliem.

Przyjdź słońce!

Na wschodzie smuga świetlna, z początku blada, różowieje z każdą chwilą, rozszerza się coraz bardziej i coraz jaśniejsza. Tuman nocny podnosi się, po niebie pełznie, schyla po drugiej stronie, wreszcie dopada ziemi i, jako gadzina, wślizguje się w ciasne zaułki.

Zaczyna świtać.

Nieliczne ciemne obłoki, jakby trwogą pędzone przed niewidzialną, a groźną potęgą, rozpraszają się, rzednieją i nikną.

Świta.

Jego ekscellencya odwrócił się od hebanowego, inkrustowanego srebrem biura. Oczy zmęczone światłem lampy i pracą nad stosem papierów, podniósł ku oknu. Przez otwory firanek przebłyskiwało szare, a złotem przetykane tło poranku wiosennego. Ekscellencya okno otworzył, strumień orzeźwiający zalał jego obszerną pracownię w rządowym pałacu. Z dołu dochodził miarowy odgłos kroków szyldwacha.

— Świta, szepnął ekscellencya i zadzwonił.

Kamerdyner wszedł, usiłując pokryć widoczną na obliczu senność.

— Pan tajny radca czy już odszedł do siebie?

— Pracuje dotąd, proszę Jego Ekscellency.

— Proś go do mnie.

Po chwili zjawił się radca, prawa ręka i zaufany jego ekscellencyi.

— Dobry wieczór, ekscellencyo.

— Dzień dobry, panie radco, już dzień dobry. Patrz teraz, ile telegramów tej nocy przyszło, zewsząd o więcej wojska się domagają. Jak pan sądzisz, czyśmy o wszystkiem pamiętali i dzisiejszy dzień upłynie spokojnie? Doprawdy, głów dziesięć mieć potrzeba, aby cugle utrzymać. Nie do zazdrości położenie.

— A zwłaszcza teraz, ekscellencyo, pora rzeczywiście krytyczna. Ramy naszej konstytucyi fatalnie ciasne, pękną — jeśli się nie rozszerzą.

— Eh, o ich pęknięciu, radco, jeszcze nie ma mowy.

— Ekscellencyo, włos siwy na głowie i moje oczy na niejedno patrzyły. Z roku na rok ma się na gorsze. Kłopoty rządów rosną w przerażającym postępie. Czy nie uważa tego ekscellencya, że dziś dawniejszym urządzeniom ciaśniej jest, niż było wczoraj miesiąc, rok temu...

— No, w każdym razie pozycya nasza straconą nie jest, póki ten oto szacowny argument w naszym ręku. I ręką dumnie wskazał ku oknu, skąd słychać było szczęk broni przechodzącego oddziału żołnierzy.

— Ostatni argument rządu.

— Pewnie... przekonywający, lecz...

Ekscellencya odezwał się znowu.

— Czy nie uważałeś, radco, że wiosna zawsze nam się burzami zapowiada, że zamiast radości, niesie nam niepokój, potrzebę zwiększonej czynności, a z tem i pracę uciążliwszą. Czy agitacya wśród mas jest wtedy silniejsza, czy też słowa agitatorów znajdują większy posłuch?

Radca zamyślił się i oczy utkwił w złotej przędzy wschodu.

Na stole lampa walcząc napróżno swym zżółkłym ze starości płomieniem ze zwycięzkim blaskiem jutrzenki, drgała... i zgasła. Niebo z różowego bladło, wdzięwając na się promienie podnoszącego się słońca.

Mrowisko ludzkie ocknęło się. Napełnia ulice, rozsypuje się po placach. Gwar stłumiony doleciał uszu ekscellencyi. Ten drgnął, brwi zmarszczył.

— Już jakiś agitator dał sygnał.

— Tak, agitator, Ekscellencyo, — ciągnął radca — co budzi te tłumy potężnem

wołaniem. On uczy nienawidzieć życie zamknięte w ciasnych i wilgotnych mieszkaniach, a miłować swiatło i wolność. Gdzie dotrze promiennym oka blaskiem, budzi do życia, do walki zagrzewa; rozpala nieokiełzane pragnienia wolności, szczęścia na łonie zmartwychpowstającej przyrody. On wypędza dziś z poddaszy i piwnic masy na ulice. Jego to sprawa, że nie sypiamy po nocach, aby świat dzisiejszy utrzymać w równowadze.

Ekscellencyi zarumieniły się policzki, rzekł pospiesznie:

— Radco, dlaczegóż w porę nie uczyniliśmy nieszkodliwym tak niebezpiecznego człowieka? Należało go mieć w swoich rękach i ubezwładnić.

Radca uśmiechnął się lekko i powoli kończył:

— I ten wskazuje tłumom jaskrawo wszystkie szczerby i szczeliny naszej budowy, wywleka im przed oczy to, co dla ładu społecznego należy trzymać w ukryciu.

— Ależ radco, twoje słowa mają coś z dźwięków słyszanych tam, z dołu.

— Ekscellencyo, aby umieć ich zwalczać, trzeba ich pojąć i znać tych, nisko.

— Masz pan słuszność, radco, zdobyłeś pan dawno moje najzupełniejsze zaufanie... ale ten agitator... czy on naprawdę?..

— Z mięsa i kości? — Nie, Ekscellencyo. Ujrzysz go wkrótce. Od wieków stał się wyrazem mądrości, prawdy, dla masy zabobonnej. Niegdyś czciły go ludy pod nazwą boga Ormuzda. Dziś biorą go za symbol wiedzy i szczęścia ci, co rozkołysaną falą ludową uderzają o kamienne tamy dzisiejszych urządzeń. Wybrali po temu dzień wiosenny, jak oto ten słoneczny, dzień pierwszego Maja.

Na dworze lud huczał tłumionem oczekiwaniem.

Z poza widnokręgu, z niebieskawej gór podściółki wstawało słońce.

— Ekscellencyo, oto agitator.

„Niech żyje pierwszy Maj! Niech żyje swoboda! Niech żyje równość, braterstwo!"

Purpurowe chusty i sztandary wionęły w powietrzu. Słońce posłało im swoje blaski.

Ekscellencya zachmurzył czoło, lecz je wnet rozpogodził. Spojrzał na grube mury koszar wojskowych, pomyślał o rotach bagnetami najeżonych.

— Przynajmniej tych jesteśmy pewni, radco, a to grunt. Tam, jak to ty powiadasz, »światło« nie dojdzie.

Tymczasem słońce igrało z puchy łabędziemi na niebie. Obrzucało je złotem, to znów czerwienią, rozwiewało je w parę przejrzystą. Zwróciło się do wieżyc kościelnych, zabłysło tęczą w oknach poddaszy. Roztoczyło się nad świętującem miastem.

— Ekscellencyo, słońce wiosenne w najciemniejszy dociera zakątek...

Kwiecień 1894.

Kazimierz Mokłowski.

HELOTOM.

Jak w zbroję, tak okuj twe serce
W pogardę.
Niech będzie milczące, ponure
I harde.
Ócz nie mruż, gdy innym strach blady
Krtań ściska,
Z uśmiechem a śmiało, idź w śmierci
Igrzyska.
Gardź falą, że próżno się wścieka
I pieni,
Pierś białą roztrąca o brzeg
Z kamieni.
Gardź wrogiem, że w próżnym chce zniszczyć
Zapędzie
Co nieśmiertelne, wieczne jest
I będzie.

Kilka słów o warunkach naszej pracy w Galicyi.

Lat temu kilkanaście, był czas w Galicyi, że socyalistów traktowano jak bandę złodziei i rabusiów. Nie było tej zbrodni i potworności, którejby na karb tych ludzi wówczas nie składano. Każdy idyotyczny „mąż stanu" galicyjski, unosił się świętem oburzeniem na socyalistów, na równi ze starą jezuicką dewotką. Położył temu tamę olbrzymi wzrost socyalizmu w Europie i rozwój nauki, której największe powagi przyjęły zwalczane niegdyś twierdzenia socyalizmu, chociaż te rzeczy inaczej dla przyzwoitości nazwano. To o co walczyli „zbrodniarze i rabusie" socyaliści, przyjęto już w sporej mierze do programów prac parlamentarnych. Wspomnę tu choćby tylko o tzw. ustawodawstwie ochronnem...

Potem zmienili się »rabusie« na zawziętych »spiskowców«. Każdy podejrzywał ich o „robienie spisków", jak gdyby socyalista nie mógł się bez tego obejść. Najniewinniejszych ludzi pakowano do kozy, na to, aby ich po kilku miesiącach wypuścić często bez rozprawy sądowej, ponieważ śledztwo surowe nie mogło znaleść śladu „spisku". I ten przesąd musiał z biegiem czasu runąć pod naciskiem rzeczywistości.

Pozostały inne zarzuty odmiennej już natury, których nie tak łatwo obalić, ponieważ — podnoszone są często nie tyle z wrodzonej głupoty ludzi piszących dzienniki i książki treści politycznej w Galicyi, ile raczej ze złej woli i z liczenia się z głupotą swoich czytelników. Do tych zarzutów należą przedewszystkiem banalne ogólniki, że socyalizm chce zniszczyć Boga i ojczyznę i chce sprowadzić chłopa na kij żebraczy, czyli „sproletaryzować" go, jak się to delikatniej nieco mówi u nas. „Rabusie" i „spiskowcy" znikli z oblicza świata i od czasu do czasu tylko pojawiają się w »Przeglądzie«, organie Länderbanku, dla rozweselenia proletaryatu.

Nie będę naturalnie narażał się tutaj na śmieszność zbijania tych reszty zarzutów; wyciągnę z nich tylko jeden wniosek: że są one każdorazową miarą stosunku naszego do reszty społeczeństwa. O ile przedtem miano z nami do czynienia w kraju, jako z garścią zapalonej młodzieży, dla której wystarczało słowo »rabuś«, o tyle teraz mają nas przed sobą jako zorganizowaną i rosnącą partyę, dla której to piękne słowo już nie wystarcza, bo już partyi wpakować do kozy niepodobna....

Ale nie łudźmy się tymi tryumfami i rozejrzyjmy dokładnie, jak galicyjskie społeczeństwo jeszcze dzisiaj się do nas odnosi.

Przebywaliśmy gorsze rzeczy, możemy więc i dzisiejszym stosunkom w oczy zajrzeć z otuchą.

Rząd i kler zostawiam tutaj na boku. W Galicyi są te dwa czynniki tak jeszcze potężne, że na chlubę naszą możemy sobie tylko powiedzieć, jakośmy w walce z tymi dwoma potęgami ani razu nie popadli nawet w najlżejsze podejrzenie złożenia wobec nich broni. Każdy socyalista znajdował się i znajdować się będzie w przeciwnym obozie wobec tych dwóch potęg.

Ogół „szlachty" galicyjskiej (a włączam tu i wszystkich dorobkiewiczów w kontuszach i ze sumiastymi wąsami zamiast herbu!) ma nietylko o nas, ale wogóle o ludziach pracy jeszcze wprost potworne i w swej potworności zabawne wyobrażenia. Znałem jedną szlachciankę, która była zdumioną i urażoną tem, że w zakładzie kąpielowym w Zakopanem, lekarz ordynujący siadał do obiadu przy jednym stole z Jaśnie Wielmożnym jej małżonkiem, kiepskim posłem sejmowym! Dla charakterystyki muszę dodać, że jeszcze ojciec tej pani był kucharzem w Tarnopolu, zanim kupił tłustą wieś podolską. Można sobie wyobrazić, jakiem okiem patrzyliby ci ludzie na socyalistę. Jestem pewny, że przedsiębiorca, którýby obwoził po dworach »prawdziwego i żywego« socyalistę w klatce (ale druty żeby były mocne!!) — zrobiłby piękny majątek...

Tak sądzą o socyalizmie ci, którzy głosują na posłów. Sami zaś posłowie szlacheccy nie mają często żadnej informacyi najpierw: co to jest socyalizm, a potem: co to są galicyjscy socyaliści. Jedni z nich sądzą, że każdy nauczyciel wiejski jest rozsadnikiem socyalizmu (patrz rozprawy sejmu galicyjskiego), drudzy nazywają socyalistami „Kurjer lwowski" lub „Reformę" (nazwano ją organem „anarchistów") i poprowadziliby na stos księdza Stojałowskiego, lub np. panów z „Przyjaciela ludu" za — socyalizm! Dla nas widowisko to ma oprócz tragicznych, także wysoce komiczne strony. Ci, którzy z nami walczą nawet zajadlej, niżby to w swym własnym interesie czynić powinni, — są piętnowani uporczywie jako „socyaliści i anarchiści" i odżegnywać się muszą na prawo i lewo od tych epitetów. Pocieszającem jest to i dlatego jeszcze, że dopóty można straszydłem straszyć, dopóki się ktoś tego boi. Ale przypuśćmy na chwilę, że wszystkie opozycyjne elementy nie będą się bały nazwy „socyalista", wówczas zaroi się kraj od „socyalistów" dopiero na prawdę! Nie łapmy jednak ryb przed niewodem.

Ignoracya posłów szlacheckich na punkcie socyalizmu musi się naturalną drogą odbić na naszych ciałach parlamentarnych.

To też słyszymy tam dominujący ton Torosiewiczów i Stadnickich w mniej lub więcej przyzwoitej formie, o którą mi na razie nie chodzi zupełnie. Te ciała prawodawcze, jak Koło polskie (bo przecież to jest osobny polski parlament w Wiedniu) lub sejm lwowski stoją nieraz na punkcie owej podolskiej szlachcianki. Nie ma w nich jednego nawet reprezentanta, któryby sobie powiedział szczerze i bez ogródek: sprawa robotników i proletaryatu wiejskiego jest moją sprawą, z nią stoję i z nią upadam. Nawet jednego takiego człowieka tam nie mamy. Nie jest to specyalnym zarzutem dla członków tych obu korporacyi; postępują tak, jak im dyktuje interes klasowy, — szczupakowi trudno stać się płocicą.

Natomiast mamy tam dziwne okazy poszczególnych posłów. Jest tam np. „demokrata", wybierany raz przez stryjską szlachtę, drugi raz przez drohobyckich (to słowo mówi wiele...) żydów, trzeci raz przez ogromną ilość: przez całych 31 głosów izby handlowej. Jest „radykał" niemal, młody człowiek, który jako środek przeciw samobójstwom poleca wysłuchiwanie mszy św., są poszczególni, którzy giełdę wiedeńską znają lepiej, niż swój okręg wyborczy, jest żyd, co broni honoru polskiej szlachty, jest drugi żyd, co należąc do Koła nie umie po polsku, jest chłop, co wygłasza mowy w parlamencie, pisane lub korygowane przez »brać szlachtę« itd. itd.

Wszystko tam jest, tylko nie ma tego jednego człowieka, któryby wyszedł z proletaryatu i bronił twardo i nieugięcie jego tylko interesów.

Nie mamy również ani jednego reprezentanta w całym tzw. „samorządzie" galicyjskim, jak długo i szeroko się rozlał po kraju. Zdarzają się coraz częściej wypadki, że atakują nas w tych „samorządnych" ciałach i nie ma ani jednego głosu, coby atak odparł i prawdę wyświecił. Tak np. mógł na nas bezkarnie napaść ksiądz prałat Chotkowski w krakowskiej radzie gminnej i sekundować panu Friedleinowi (głośnemu w czasach ostatnich), i nikt nie mógł zaprzeczyć wszystkim bredniom i podjudzaniom świątobliwego męża na posiedzeniu rady. Tak burmistrz N. Sącza na własną rękę odepchnął robotników, gdy ci chcieli razem z mieszczaństwem obchodzić rocznicę Kościuszkowską i nikt go za to nie upomniał. Tak samo mógł burmistrz miasta Tłómacza, rok temu, kazać uwięzić dwóch robotników, a na ich protesty odpowiedzieć: »tu w Tłómaczu nie ma żadnej

konstytucyi!« Za to włos mu z głowy nie spadł i robotników prowadzono w kajdanach do Stanisławowa, gdzie ich sąd karny kazał puścić wolno.

Nie chcemy tutaj wzniecać oburzenia takimi faktami — nie — one nam służyć mają dla określenia trudności, w jakich nasza praca postępuje.

Zstąpmy jeszcze niżej. Jak zachowują się wobec nas chłopi. Tu rozdzielić trzeba dwie rzeczy, tj. samych chłopów, realnych »prawdziwych« chłopów i tych ludzi, co się nazywają „ludowcami“ bez względu na to, czy to są „ludowcy“ klerykalni, liberalni, szlacheccy, czy nawet radykalni. Przy »ludowcach« trzeba jeszcze zauważyć tzw. „chłopów od parady“, tj. biedaków, którym się płaci kolej, łożę do teatru i kiełbasę lub skromną wieczerzę po uroczystości, a za to prowadzi się ich pod strażą „honorową“ na zgromadzenia, pochody itp. jako „lud...“ Ci biedacy dają przed kolacyą dobrą dekoracyę; po kolacyi czmychają chyłkiem do domu, do swojej opiekunki — nędzy napowrót.

Otóż chłopi, jako klasa społeczna jeszcze ani razu w zetknięciu się z nami nie była przeciw nam, a jakkolwiek nie przeceniamy pojedynczych objawów sympatyi chłopów wobec zorganizowanych robotników, to jednak czujemy dobrze, że z ludem samym potrafimy się wybornie porozumieć... Inna rzecz z tzw. »ludowcami«.

Tych »surdutowców« jedna znamionuje cecha dziwna i przykra. Wielu z nich nie wierzy w kościół katolicki za grosz jeden, a stanąwszy przed zgromadzeniem chłopskiem, zapewniają, że są „dobrymi katolikami“, lub umieszczają programy i korespondencye zaczynające się od słów: »W imię Ojca i Syna i Ducha św. Amen«. Albo nie szanują swych zasad, albo lekceważą lud, jeżeli tych swoich zasad mu nie mówią otwarcie. Należy spora doza pogardy ludu do tego, żeby stanąć przed tym wielkim ludem i wywijać przed nim łamańce. Prędzej zaś czy później mści się to na samych linoskokach... Nietylko w tym jednym względzie, ale i w innych ważniejszych, ludowcy nie mają odwagi i wiary w wielkość swego ruchu i mówią ludowi ckliwe rzeczy, którychby się nie odważyli powiedzieć np. robotnikom miejskim. Z tego też powodu wielu z nich, niegdyś socyalistów, poszło »na pensyę« i dziś przeciw nam występują.

Albo co powiedzieć o organie „ludowców“, który szukając obelżywego epitetu dla robotników, nazywa ich wzgardliwie „parobkami stajennemi?“ Ci, którzy mają pokochać i przygarnąć do siebie masy „parobków stajennych“, uważają ten wyraz za obelgę, jak gdyby byli uperfumowanymi arystokratami! „Ludowcy“, którzy lud albo okpiwają, albo nim pogardzają.

A przecież w tych warunkach galicyjskich złożyliśmy dowody, że potrafimy cierpieć, walczyć i czasem zwyciężać! Ze zgrzytaniem zębów konstatuje sprzedajna prasa, że nie można naszej agitacyi odmówić „zręczności i ruchliwości“ i wymierza w tę „ruchliwą i zręczną“ agitacyę najcięższe armaty fałszu i przewrotności, które na szczęście celu chybiają...

Rozumny socyalista, znający położenie Galicyi pozna, że samo istnienie choćby małej partyi socyalistycznej w kraju jest celem godnym największych poświęceń z jego strony. Nie dlatego jakoby ta partya bezpośrednio wpływ swój wywierała, ale dlatego, ponieważ zorganizowanie jej u dołu społeczeństwa daje z konieczności, niejako model krystalizacyjny ruchu politycznego u dołu. Jak mały kryształ wrzucony do nasyconej cieczy, daje powierzchnie oparcia dla osadów tej cieczy, tak samo partya nasza, właśnie przez to, że jest szczerą i nie połowiczną, że jest skrajną partyą opozycyjną, kieruje ruchem nawet tych, co się jej wrogami nazywają, a równocześnie są także partyami opozycyjnemi.

Prawda, że warunki pracy są nieraz nieznośne, ale trzeba na nie patrzeć więcej z uwagą rachmistrza, niż z wrażliwością nerwowego człowieka.

Ignacy Daszyński.

Dola kobiet.

Znaczna część ludzi, którzy gorąco pragną ulżenia doli dla uciśnionych i sprawiedliwości dla pokrzywdzonych, nie wie nawet jak olbrzymią, jak nieprzejrzaną jest liczba tych, za którymi obstaje.

W każdej dziedzinie życia odsłania się przed nami nowy przejaw ucisku, o którym nie wiedzieliśmy dawniej, mimo, iż pod jego jarzmem jęczą miliony ludzi.

Jak wielu np. nie myśli wcale o tem, że najbardziej poniżonemi w społeczeństwie, najbardziej uciśnionemi są kobiety. Nawet w klasach posiadających jest kobieta pokrzywdzoną, pozbawioną swobody, nauki i niezależności — cóż dopiero mówić o kobiecie z proletaryatu? Ta stanowczo znosić musi podwójne ciosy, podwójne cierpienia, jest wyzyskiwaną podwójnie: jako kobieta i jako członek swojej klasy. Dość już wielkim ciosem jest dla niej, jeżeli opuszczać musi na cały niemal dzień, drobne, nieporadne, często chore i głodne dzieci i iść do roboty. Nie ma jednak rady, bo zarobek męża nie wystarcza dla najnędzniejszego choćby utrzymania rodziny. Dla kobiety jest opuszczenie domu rzeczą o wiele trudniejszą, niż dla mężczyzny, czyniąc to ponosi ona istotną ofiarę; mimo to jednak zapłata, jaką za pracę swoją otrzymuje, jest nieporównanie niższą od płacy mężczyzny. Nie dość tego jeszcze. Kobieta idąca do roboty, zmuszona stosunkami do pracy za jakąkolwiek cenę, wie o tem dobrze, że ponieważ ona tanio pracuje, to przedsiębiorcy obniżą płacę jej mężowi, czuje, że robi mu konkurencyę, że psuje jego zarobek, a jednak pracować musi, nie znachodzi wyjścia z zagmatwanej sieci nędzy.

Prócz tych kobiet znajdujemy u nas zwłaszcza pokaźną liczbę innych, również ciężko pracujących, również pozbawionych dobrobytu i spokoju, ale nieświadomych tego, że należą do proletaryatu. Mają one burżuazyjne pojęcia, bo są ciągle pod wpływem burżuazyi, która nęci je i imponuje im błyskotliwą swoją wartością. Najliczniejszy zastęp tych kobiet składają krawczynie i nauczycielki. Żyją one tak nędznie jak robotnice, ale pracują na „własną rękę“, krawczynie zwłaszcza są to niby „właścicielki“, ale takie właścicielki, jak „właścicielem“ jest biedny chłop galicyjski. Nauczycielki — to kobiecy proletaryat umysłowy, licho wykształcony w lichych szkołach.

Krawczynie, zwłaszcza takie, które z żadną, albo lichą pomocą w swojem ciasnem, niezdrowem, przepełnionem mieszkaniu pracują — to istne męczennice. Jeżeli są matkami dzieci, to zaniedbywać je muszą tak, jak zaniedbuje dzieci swoje każda robotnica. Jeżeli są staremi pannami, to los mają, jeśli to możliwe, jeszcze gorszy, grozi im jutro czarne, wyrzucenie na bruk, w chwili gdy po życiu pełnem znoju nie będą zdolnemi do pracy. Wlewają one pół zdrowia i życia w tak szkodliwe dla kobiety zajęcie, jakiem jest praca przy nożnej maszynie. Trzymają się one kurczowo resztki swojej „własności“ tak, jak czyni to chłop galicyjski, choć im tak jak jemu własność ta nic nie przynosi oprócz głodu i nędzy.

Biedne pracownice! czyż nie widzicie, że wielka produkcya zabić was musi, że rynki przepełnione są tak zwanemi „gotowemi rzeczami“, które coraz więcej mieć muszą pokupu i jeżeli nie dziś, to jutro wysunie się wam własność z rąk i będziecie musiały pracować w cudzem, wielkiem przedsiębiorstwie?

Mimo nędzy, mimo to, że są bezprzykładnie wyzyskiwanemi, kobiety w socyalnodemokratycznym ruchu masowo u nas udziału jeszcze nie biorą; choć socyalnodemokratyczna partya jest jedyną siłą, która dąży do usunięcia wyzysku i wszelkich przejawów niesprawiedliwości i krzywdy w najszerszem tego słowa znaczeniu.

Podczas kiedy inni uciskani garną się ochoczo pod czerwony sztandar socyalizmu, żeby pomagać współbraciom w pozyskaniu lepszej doli — kobiety u nas do partyi jeszcze nie przystępują. Dlaczego? — rozumiemy to dobrze.

Robotnik ma po żmudnym i długim dniu pracy wypoczynek i wolność, może wtedy zejść się z towarzyszami, pomyśleć, pomówić, pouczyć się. Robotnica nie wie, co to znaczy wolność, co swobodna chwila, wróciwszy przygnębiona z roboty, zabiera się do nowej pracy około dzieci i domu, do pracy, dla której czas ofiarować musi. Czyż ma ona czas do pomyślenia o interesach partyjnych, o doli swojej, o przyszłej doli dzieci? Czyż nieszczęśliwa może wierzyć w owocność wysiłku?

Kobieta robotnica jest za bardzo wycieńczoną, zanadto nieszczęśliwą, zanadto przytłoczoną ciężarem osobistych kłopotów, żeby mogła myśleć o rzeczach szerszych.

Kobieta pracująca, jako to u nas drobna krawczyni, właścicielka sklepiku, nauczycielka daje się łudzić pozorem własności, lub pozorem wykształcenia.

Siostry! pierwszym z was radzę szczerze, która tylko może niechaj stara się zrozumieć przyczyny nędznej swojej doli i środki, które polepszyć ją mogą, a wtedy z pewnością do partyi przystąpi. Pamiętajcie, że dzięki usiłowaniom tej jedynie partyi, córki wasze będą miały lepszy od was los, a pewnie i wam za lat kilka wywalczy ona krótszy dzień pracy i wyższą płacę.

Wy, które harujecie jako robotnice, które morzycie się głodem po to, żeby kupić kapelusz, które wierzycie, że dzieli was od robotnic przepaść niezmierzona i dlatego nie czujecie swojej łączności z partyą socyalnodemokratyczną, pouczcie się w sprawach najbardziej was obchodzących, rozejrzyjcie się uważnie a pojmiecie, że jutro niedalekie, które wam próchno „posiadania“ z rąk wytrąci... Czyż nie lepiej, żeby to jutro zastało was gotowemi do walki, zorganizowanemi, idącemi ręka w rękę z towarzyszami niedoli?

Wierzcie mi, my kobiety, występując w masie, z jednej strony jako robotnice, z drugiej strony jako matki, żony, córki i siostry, możemy działać owocnie w kierunku przyspieszenia tego dnia, w którym, dzięki usiłowaniom socyalnej demokracyi, wolność, równość i braterstwo nie będą czczym hasłem, ale staną się podkładem i istotą życia.

Helena Rawska.

Bajka.

Zebrane dnia 30. listopada w ciasnym pokoiku kawalerskim towarzystwo, wesołą zajmowało się zabawą. Na wielkiej łyżce cynowej, nad niebieskim płomieniem maszynki spirytusowej topił się ołów — i każda z osób obecnych kolejno wylewała roztopiony kruszec do przygotowanego naczynia z zimną wodą, licząc na to że św. Andrzej — pomny swych obowiązków — zechce stygnącej w naczyniu masie nadać kształty symboliczne, z którychby z mniejszą lub większą dokładnością o przyszłych losach wnioskować można.

Wesoły śmiech mieszał się z sykiem ołowiu i wszystkimi samogłoskami alfabetu witano wyciągane z otchłani kociołka niekształtne bryłki, w których fantazya obecnych usiłowała dopatrzeć się jużto serca przeciętego strzałą, jużto niemowlęcia w powijakach, lub też postaci mowcy w oratorskim zapale.

Ostatnim, który w ten sposób rzucał pytanie przyszłości był Daniel. Sięgnąwszy

ręką na dno kociołka, przekonał się ze zdziwieniem, że rozpryskująca się zwykle roztopiona masa zbiła się tą razą cała w jedną bryłę, a gdy ją ukazał obecnym, nikt wyobraźni swej nie potrzebował natężać, bo oto na dłoni Daniela najwyraźniej wznosiła się z szarawego metalu ulana postać wspaniałego orła z rozpostartymi skrzydłami, który nogą wsparty o krawędź gniazda, zdaje się każdej chwili gotów do wzlotu.

Zapanowała cisza — cisza, jaka zwykle nastaje, gdy dzieje się coś tajemniczego, rozumem niepochwytnego — a wszyscy czuli, że to symbol prawdziwy, symbol minionego i przyszłego życia Daniela.

Mnie zaś w tej chwili przypomniała się przypowieść, zasłyszana przed laty, która tak dziwnie zastosować się dała do losów Daniela.

Nad kolebką nowonarodzonego dziecięcia czuwa młoda matka; serce jej przepełnione czułością i trwogą, a myśl snuje nadzieje i plany przyszłości. Czy mu los szczęście, czy niedolę gotuje, czy imię swe sławą, czy hańbą okryje, czy zyska wdzięczność współbraci, czy ściągnie na się ich złorzeczenia? Wybrańcom losu niekiedy dobrotliwe wróżki dar do kolebki składają — dar taki, wskazując kierunek życia, niezbaczającemu z drogi, szczęście przynosi. O gdybyż i synem jej zaopiekować się chciała jakaś tajemnicza a można istota i u wstępu do życia dar mu zesłała!

W szczęśliwej chwili wypowiedziała życzenie swe matka, bo oto natychmiast cały pokój napełnił się jasnością, a u kolebki stanęła świetlana postać cudnej kobiety, której włosy i odzież olśniewający rozsiewały blask. Pochyliła się nad dziecięciem i coś świecącego włożyła mu do kolebki. Matka spojrzała uważniej i spostrzegła szczerozłotą figurkę orła z rozpostartemi skrzydłami, wznoszącego się ponad gniazdem Oczy orła z drogich wysadzane kamieni, niby żywym płonęły blaskiem. Na widok ten, w umyśle matki marzenia wielkości, sławy i panowania wyraźne i olbrzymie przybrały kształty, — lecz, gdy z obliczem, na którem malował się zachwyt, chciała dziękować wróżce, ta powstrzymała ją skinieniem ręki i poczęła mówić:

— Zle — widzę — zrozumiałaś znaczenie daru mojego. Wy ludzie, którzy z naturą i porządkiem społecznym mieszkańców powietrznych żadnej nie macie styczności, przywykliście orła królem ptaków nazywać. Lecz ja, której sfery powietrzne również dobrze są znane, jak powierzchnia ziemi i głębie wody — muszę cię z błędu wyprowadzić. Orły w państwie ptasiem dawno już nie są władcami i królami. Dziś władzę dzierżą ci, którzy niskim swym lotem nie wznoszą się ponad powszedniość i miernotę. Opasłe to, a wiecznie żeru chciwe ptactwo oddaje jednemu z pomiędzy siebie rządy, aby pomagając mu i przy jego pomocy, żelaznym łańcuchem opasać tłumy drobnego, głodnego ptactwa. Nie lubią w królestwie tem dziś jednostek o wyższym polocie, śmielszej myśli i gwałtowniejszych ruchach; wszakże one porwaćby mogły ogniwa łańcucha i powrócić gatunkowi ptasiemu rodową jego cechę — wolność! Nie, nie lubią takich ptaków stonowczo, i nietylko nie oddają mu władzy, ale nadto tępią lub wyganiają z granic państwa ptasiego. Straciły zatem orły władzę i królowanie, lecz nie straciły bystrości oka i energii lotu, a widok bratniej niedoli utrwala ich jeszcze w szlachetnych dążeniach. Gdy taki orzeł z wyższych i czystszych sfer, do których wzbić się potrafił, zleci i osiędzie wśród gromady ptasiej w obrębie łańcucha — natychmiast opasłe ptactwo, które wielkości nie rozumie, lecz się jej boi instynktownie, wysyła oddziały z gatunku łażących i pełzających. Te niskim lotem stale okrążają orła, śledzą i donoszą o każdym jego ruchu. A opaśli — z natury rzeczy ruchowi nieprzyjaźni, podcinają mu skrzydła, zamykają do ciasnej klatki, odcinają mu wszelkie drogi horyzontalne — słowem zadają mu fizyczne i moralne katusze. I nawet to drobne, ujarzmione ptactwo, dla którego orzeł wolności zdobyć pragnie, zalęknione i onieśmielone często z niechęcią i nieufnością nań spogląda. Mała tylko garstka pokrewnych mu duchem — choć nierównych siłą, przyjaźnią i zachętą go darzy. Lecz gdy przyjaźń wabi, gdy miłość słodkim śpiewem nęci i gniazdo uścielić mu pragnie i przywiązać do siebie na dłużej — orzeł rzuca miłość i gniazdo i wzlata wysoko, w jedynym kierunku, w jakim opaśli śledzić go nie mogą. A pobujawszy na wysokości i rozpoznawszy, gdzie ucisk największy i chwila do zerwania łańcucha najodpowiedniejsza, spuszcza się w dół i rozpoczyna na nowo żywot trudów i walk pełny.

Lecz to ci na pociechę powiem matko, że jakaś radość wewnętrzna wynagradza mu znoje — bo żaden orzeł losu swego z najrozkoszniejszym żywotem poziomego i opasłego ptactwa by nie pomieniał!«

Skończyła wróżka, raz jeszcze pochyliła się nad dziecięciem, znikła, a z nią i jasność, którą z sobą przyniosła.

Matka spoważniała, dotknęła się ustami twarzyczki dziecięcej i szepnęła:

— Przekleństwem li, czy błogosławieństwem jest dar ten dla ciebie, mój synu?

F. P.

Robotnikowi do albumu.

Z ławy szkolnej, do rzemiosła
Twarda dola cię zaniosła.
Przy warstacie, w pocie czoła
Walczysz o chleb, o grosz marny.
Świt już cię do pracy woła
A uwalnia cię zmrok czarny.
Trud uczciwy, choć niemały —
To twój żywot będzie cały.

Ale los ten — twojej duszy
Niechaj smutkiem nie zaprószy.
Prostuj barki, czoło w górę,
Z głowy myśli precz ponure!
W walce z dolą, z biedą wszelką!
W burz chaosie świata dzikim —
Znajdziesz spokój i moc wielką
Wiedząc, żeś jest — robotnikiem.
Myśl tę piastuj z dumą, z cześcią —
A czy wiesz, co jest jej treścią?

Dziś robotnik — to oznacza
Człeka, który nie rozpacza
O swe losy, choć zawiłe,
Bo w swej sztuce dzierży siłę...
Robotnicy — to nie sługy.
Dusza ich jest jasna, harda —
Bo nie żywi ich pot cudzy
Tylko własna praca twarda.

Ale głównie myśl ty o tem,
Że nie jesteś opuszczony,
Mimo, że nie władasz złotem —
Masz za sobą miliony...
Żeś ty członkiem jest rodziny,
Co we wszystkich krańcach świata
— Skoroś dzielny i bez winy —
Ma dla ciebie miano brata...
Że obok niej, ręka w rękę,
Bodaj przez trud i przez mękę
Masz dokonać dzieł potężnych!
— — — — — — — — —
Staraj się więc być wśród mężnych...

W. F.

Proletaryat rolny a socyal-demokracya.

Kilka ostatnich lat zaznaczyły się faktem ogromnej doniosłości dla sprawy robotniczej. Oto — do armji uświadomionego proletaryatu przyłącza się wiekowy niewolnik ciemnoty i wyzysku — chłop — robotnik wiejski. Ci, którzy dotychczas umieli tylko cierpieć i pokornie znosili najgorsze ciemięstwo, gotują się teraz do oporu; ci, którzy dotąd byli tylko ślepem narzędziem w rękach księży i rządu, garną się pod sztandar socyal-demokracyi — by razem z miejskimi robotnikami dzisiejszy ustrój społeczny zmienić na lepszy.

Dwa kraje są dzisiaj najgłośniejszą widownią tego przebudzenia się proletaryatu rolnego — Anglia i Włochy (Sycylia).

Żeby dokładnie zrozumieć olbrzymie znaczenie tego faktu, trzeba zastanowić się nad tem — czem był dotychczas lud wiejski wobec rewolucyi i wobec ruchu robotniczego.

Wobec rewolucyi: — był armią wstecznictwa, brutalną siłą do zgniatania wolności. We Francyi 1793 r., gdy lud miejski niszczył stare porządki szlacheckie i na gruzach wiekowego poddaństwa po raz pierwszy ogłosił światu wielkie słowa „wolności“ i „braterstwa“, — wtedy panowie i duchowieństwo potrafili skorzystać z ciemnoty mas chłopskich. Księża głosili z ambon, że robotnicy miejscy wypowiedzieli wojnę Bogu; poprzebierani za agitatorów panicze i płatni agenci magnatów, rozpowiadali po karczmach o tem, jak rewolucyoniści będą palić wsie, burzyć kościoły, gwałcić córki i rabować dobytek chłopów. Chłopi uwierzyli — i wziąwszy „święcone“ noże, poszli walczyć za interesy swoich ciemiężców, poszli bronić swego własnego jarzma. — To była Wandeja.

Gdy 1871 r. robotnicy Paryża podnieśli czerwony sztandar komuny, żądając chleba dla głodnych i odzyskania straconej wolności — rząd i burżuazya francuska wysyła na nich zbrojne oddziały rekrutów wiejskich, ściągniętych umyślnie z głębokich prowincyj, i chłopskiemi rękami wyrzyna 40 tysięcy zbuntowanych robotników.

Możnaby wyliczyć długi szereg podobnych faktów. Jest to więc polityka wypróbowana. Ciemnota i bierność ludu wiejskiego była zawsze najsilniejszą podporą dyspotyzmu i wyzysku, o nią rozbijały się dotąd wysiłki rewolucyi. — Chłop przywykły do pokory i służalstwa, ogłupiany systematycznie przez księży, zgnębiony nędzą, nie widzący nic po za swoją zagrodą, — chłop, do którego nigdy nie dochodzą żadne hasła rewolucyjne, żadne słowa rozbudzające świadomość, stać się może w każdej chwili ślepem narzędziem w rękach klasy panującej i rządu.

I burżuazya na to rachuje.

Gdy po ulicach miast ciągną zbite tłumy strejkujących, gdy koło sztandaru socyalnej demokracyi gromadzą się coraz to większe zastępy, — burżuazya czuje zbliżającą się burzę i zaczyna marzyć o stworzeniu nowej Wandei. — Wtedy to, Izby parlamentarne przypominają sobie z rozrzewnieniem, że istnieje „zdrowy“ lud wiejski, nie zarażony jeszcze żadnym trądem komunizmu, podpora tronu i ojczyzny; wystraszeni giełdziarze wpadają w sentymentalizm wioskowy; salonowe damy roztkliwiają się nad sukmaną chłopską i zapachem obory; zdawało by się, że duch poezyi sielankowej przeleciał przez buduary i kantory bankierskie. Nie są to jednak bezcelowe sentymenta; kokietowanie chłopa ma swój cel zupełnie praktyczny. „Niech tylko miejska hołota — myśli sobie burżuazya — podniesie sztandar rewolucyi, my ją zgnieciemy zwierzęcą siłą mas chłopskich. Chłopskie pięście rozwalą ich barykady, — chłopska głupota złamie potęgę socyal-demokracyi“.

Wobec ruchu robotniczego: lud wiejski był dotychczas nieświadomym pomocnikiem burżuazyi, bezwiedną przeszkodą dla robotników fabrycznych i kopalnianych w ich walce z wyzyskiem.

Ciemne, niezorganizowane, głodne tłumy napływają nieustannie ze wsi do wielkich miast przemysłowych szukając zarobku. Są to ci chłopi, których nędza, lichwa i podatki wyrzucają co roku tysiącami z ojczystego zagonu. Przyzwyczajeni do nędznego życia, do kartofli i barłogu, do płacy kilkunastu krajcarów na dzień — godzą się odrazu na najpodlejsze warunki najmu. Najniższa płaca miejska wydaje się im jeszcze dobrą, wobec tego co zarabiali pracując na pańskich polach. Zahukani, nieśmiali, nie mający pojęcia o oporze i walce, o solidarności i prawach swoich, wpadają odrazu pod najstraszniejsze jarzmo

wyzysku. Oni to konkurencyą obniżają płace fabryczne, zajmują miejsca strejkujących, utrudniają na każdym kroku walkę z kapitałem. — Jest to owa tania „rezerwa“ robocza która wyczekuje przy każdym kantorze fabrycznym, gotowa na jedno skinienie majstra stanąć do roboty za połowę ceny: — zbawienie fabrykantów, plaga robotników.

Wieleż to najlepiej zorganizowanych strejków przepadało marnie, dlatego tylko, że fabrykanci mogli sprowadzić ze wsi całe gromady tanich wyrobników! Wieleż to razy z trudem wywalczona płaca wyższa spadała znowu do poprzedniej normy, wskutek napływu tej taniej siły roboczej wygłodzonych chłopów.

A napływ ten z każdym rokiem staje się większy. Wielkie majątki kapitalistów, z umiejętną gospodarką rolną, zalewają wszystkie rynki swojemi produktami. Ich zboże, bydło, buraki, jest towarem tańszym i lepszym niż chłopski. Oni mają po całym świecie swoje agencye kupieckie, swoją reklamę, swoich dostawców. Używając do gospodarki coraz nowszych maszyn i różnych wynalazków, produkują coraz więcej i coraz taniej.

Wobec takich potężnych konkurentów, interesy małych posiadaczy, chłopów kilku morgowych, stają się fatalne. Zduszeni żelazną ręką kapitału, staczają się oni szybko w przepaść ostatecznej ruiny i nędzy. Ceny na ich produkty ciągle spadają, nabywcę znaleść coraz trudniej. A obok tego podatki rosną, ziemia wyczerpuje się, bo niema pieniędzy na poprawę gospodarstwa, nieurodzaje powtarzają się rok za rokiem. — Wyżyć ze swego zagonu staje się dla chłopa niemożliwem, utrzymać go coraz trudniej. Tysiące zagród chłopskich zostaje co roku zlicytowanych; tysiące rodzin wyrzuconych na włóczęgę. — Ci zaś, którym uda się jeszcze przez czas jakiś utrzymać się na swoim zagonie, wiodą rozpaczliwy żywot nedzarzy, na własnych śmieciach konając powoli z głodu. Dla jednych i drugich, sprzedanie swojej siły roboczej staje się kwestyą bytu. Są to prawdziwi proletaryusze, dla których ż y ć — to znaczy z n a l e ś ć z a r o b e k. A zarobku tego na wsi nie znajdują — więc ciągną do miast, do osad fabrycznych, do kopalń.

Co na to socyal-demokracya? Socialdemokracya zrozumiała doniosłość sprawy. Proletaryat wiejski nie ma nic do stracenia, prócz głodu, nędzy i niewoli wyzysku; wszystko zaś do zyskania — chleb, swobodę i godność ludzką. Taka klasa jest naturalną armią socyalizmu. Pozostawiać ją w ciemnocie i zbydlęceniu byłoby fatalnym błędem politycznym.

Klasy panujące, z pomocą duchowieństwa używają dziś wszystkich środków na to, żeby z mas chłopskich uczynić swój taran do rozbicia socyalizmu.

Nieuświadomione tłumy wiejskich wyrobników, napływające ciągle do miast przemysłowych, utrudniają coraz bardziej organizacyom robotniczym walkę z kapitałem. — — Wobec tego — uświadomienie i zorganizowanie proletaryatu rolnego staje się kwestyą pierwszorzędnej wagi. — Sztandar socyal-demokracyi wtedy będzie niezwyciężonym, gdy skupi około siebie wszystkich proletaryuszów. Rachuby, nadzieje i przewaga burżuazyi będzie całkowicie zniszczoną, gdy wiejscy robotnicy staną razem z miejskimi, jako jeden zorganizowany zastęp walczących. Kongresy partyjne zdecydowały konieczność energicznego rozpoczęcia agitacyi wśród wiejskich robotników i praca agitatorów nie pozostała bezskuteczną.

W Anglii: Najsilniejszy ruch objawił się między proletaryatem rolnym Anglii. — Tam najwcześniej utworzyła się tzw. „Liga wiejska“ — organizacya, która postawiła sobie za zadanie rozbudzić świadomość klasową proletaryatu rolnego i powołać go do walki z kapitałem. W pierwszych latach nie miała wielkiego powodzenia i dopiero w 1890 r. wiejscy robotnicy zaczynają masowo organizować się w związki. Ważną przeszkodą do propagandy po wsiach (pisze C. Hugo w „Neue Zeit“ nr. 14) był brak lokalów publicznych. Istniejące tu i ówdzie w okolicach nie były dawane agitatorom Ligi. Ażeby tę przeszkodę ominąć, Liga wpadła na znakomity pomysł używania tak zwanych „wozów czerwonych“. Są to wozy olbrzymie, tak urządzone, że mogą służyć zarazem jako trybuny dla mowców i dla publiczności — rodzaj wielkiej budy, sali jeżdżącej na kołach. Tam także urządzone są składy pism i broszur agitacyjnych, które rozpowszechniają się pomiędzy wiejską ludnością. Dzięki tym wozom, agitacya mogła być prowadzoną publicznie w najmniejszych wioskach.

Od 15. kwietnia do 20. października, to znaczy przez 6 miesięcy tylko, objechano 156 miejscowości, urządzono 165 zebrań i zorganizowano 7,500 chłopów.

„Wóz czerwony“ przyjechawszy do jakiejś miejscowości, zatrzymuje się na najbardziej uczęszczanym placu. Tam zostają wywieszone chorągwie i plakaty z hasłami robotniczemi; tysiące odezw zostaje rozrzuconych w okolicy mówiących wyraźnie o celach zebrania.

Zaciekawieni i pobudzeni mieszkańcy ściągają całą masą wieczorem do „czerwonego wozu“ — z żonami i dziećmi — żeby słuchać gorącej przemowy agitatorów. Po skończonem zebraniu, nowo pozyskani dla sprawy robotnicy wiejscy zapisują swoje nazwisko, wybierają na miejscu swego sekretarza i kasjera — i nowy z w i ą z e k najmitów rolnych zostaje zorganizowany.

Tym sposobem, propaganda postępuje ciągle naprzód, uświadamiając i organizując coraz większe masy ludu wiejskiego.

Jakie są cele tych związków?

— Nauczyć robotnika wiejskiego poczucia własnej godności, żeby śmiało patrzał w oczy swoim wyzyskiwaczom i nie dawał się poniewierać.

— Nauczyć go praw swoich, oporu i solidarności z towarzyszami.

— Nauczyć o co ma walczyć, czego się dopominać, do czego dążyć.

— Zapewnić każdemu robotnikowi moralną i materyalną pomoc towarzyszy, ażeby się poczuł członkiem wielkiej i silnej rodziny proletaryatu, a nie jak dotychczas, samotną i słabą jednostką.

— W polityce — związki mają przyjąć żywy udział w wyborach do parlamentu i burżuazyjnym kandydatom przeciwstawić swoich własnych, robotniczych posłów.

— W walce ekonomicznej — zdobywać większą płacę, krótszy dzień roboczy, ochronę prawną przed wyzyskiem i bezprawiami kapitalistów, — idąc zawsze ręka w rękę z robotnikami miejskimi.

— „Związki“ muszą prowadzić walkę nietylko z wielkimi właścicielami, z kapitalistami rolnymi, lecz także z całą klasą średnich właścicieli: chłopów zamożnych i dzierżawców trzymających w arendzie ziemie lordowskie, zwanych w Anglii fermerami. Cała ta klasa, pod względem wyzysku robotnika, nie ustępuje zupełnie kapitalistom, najmici zaś częściej z nią mają do czynienia niż z wielkimi właścicielami. Walka z tą klasą wyzyskiwaczy jest przeto konieczną. —

— Pojawienie się związków robotników rolnych wywołało przestrach i oburzenie wśród klas panujących. Burżuazya, wielcy właściciele, kler, fermerzy, wszyscy łączą się ze sobą, żeby je steroryzować i zniszczyć. Fermerzy stojący dotąd na stanowisku nieprzyjaznem wobec wielkich właścicieli, objawiają na swoim zjeździe odbytym w Londynie 1892 roku, że ich interesy są zupełnie solidarne z interesami kapitalistów rolnych, gdyż mają wspólnego wroga do zwalczenia — wiejskich robotników. — Prześladowanie organizuje się na wielką skalę. Nienawiść klasowa wybucha z całą zaciekłością. Wszelkie środki są używane — żeby tylko rozbić nienawistne związki. — Sądzić można z przykładów, które podaje C. Hugo:

„Jeden stary robotnik, zupełnie ślepy popełnił tę nieostrożność, że pozwolił w swoim domu zebrać się członkom „związku“. Wyrzucono go natychmiast z chałupy, chociaż od wielu lat ją zamieszkiwał.

„W Shobdou, gdzie cała okolica należy do jednego tylko lorda Bateman, członkowie Ligi nie mogli znaleść żadnego miejsca na urządzenie zebrania. Grożono im natychmiastowem wyrzuceniem z okolicy. Kiedy „wóz czerwony“ zatrzymał się na jednym niezabudowanym placu, miejscowa policya na rozkaz lorda zmusiła go natychmiast do odjazdu...“ „Gdy wóz czerwony przejechał do miejscowości Theaic, niemożliwem było znaleść miejsca dla ulokowania koni, gdyż wszędzie karczmy tamtejsze należą do jednego bogatego szynkarza. Sędzia pokoju, ażeby przeszkodzić agitatorom przemawiać do tłumu, rozkazał łobuzom zabawiać się w piłkę koło wozu; ci zaś prędko zamienili piłkę na kamienie, któremi napastowali zebranych i mowców.

„W hrabstwie Berkshire — właściciele, fermerzy, księża przychodzą na zebrania, żeby swoją obecnością przypomnieć robotnikom, jakie następstwa im grożą, gdyby przystąpili do związku. — Od czasu do czasu, złoczyńcy wynajęci za pieniądze przez tych „przyjaciół porządku“, rzucają się na mowców czerwonego wozu, żeby im dać poznać całe niebezpieczeństwo tej agitacyi. Zdarzały się już wypadki, że mowcy bywali brutalnie napadani podczas nocy i we własnych mieszkaniach. Nie cofano się nawet przed próbami zatopienia czerwonych wozów z ich agitatorami...“ —Nieraz bywa, że robotnicy za przystąpienie do „związku“, zostają natychmiast pozbawieni pracy i wyrzuceni ze swoich chałup przez właścicieli.

Cóż jednak z tego! ruch socyalistyczny zatrzymać się nie daje; raz rozbudzona świadomość swoich krzywd i interesów, z żywiołową siłą rozszerza się na coraz większe masy, pobudza coraz silniej umysły ludzkie, tworzy coraz nowsze zastępy walczących. Pomimo wszelkich prześladowań i wysiłków, agitacya „czerwonego wozu“ idzie dalej, związki najmitów mnożą się i potężnieją. Z dumnych chałup chłopskich — z szerokich pól i pastwisk — coraz wyraźniej podnosi się bojowy okrzyk tych najbardziej upośledzonych dotychczas — proletaryuszów rolnych.

„Któż zdoła wstrzymać strumień w biegu
Czyż jest na świecie taka broń?

— I burżuazya widzi z rozpaczą, jak wóz czerwony niszczy wszystkie jej sny złote i nadzieje przyszłości. I widzi ze zgrozą, że ta silna pięść chłopska, za pomocą której ona chciała zmiażdżyć socyalizm — przeciwko niej się skierowuje; że to bydło robocze, które tak wspaniale dawało się dotąd wyzyskiwać — przemienia się w harde szeregi socyal-demokracyi.

Wartoż to było bawić się w demokratyzm i zachwycać się sielankami!

W innych krajach: Za przykładem angielskich — poszli robotnicy rolni innych krajów. Jest to zaledwie pierwsze przebudzenie się z długiego letargu niewoli, pierwszy krok na drodze walki. — W Niemczech, podczas ostatnich wyborów do parlamentu, kilkanaście tysięcy głosów robotników wiejskich padło na socyal-demokratycznych kandydatów. — W Saksonii rozpoczęła się agitacya między czeladzią dworską. — W Sycylii i Karrarze (południowa prowincya Włoch) tysiączne tłumy chłopów wystąpiły z bronią w ręku upomnieć się o chleb i należne sobie prawa.

Bunt został wprawdzie zgnieciony, po miesięcznej przeszło walce; od kul i bagnetów zginęły setki robotników; ale ruch ten świadczy o tem, że proletaryat rolny przestaje już być powolnem bydłem roboczem.

— *A w Polsce?* W Polsce dotąd jeszcze wśród ludu wiejskiego przewodzą księża, stańczycy, demokraci w rodzaju Stojałowskich i Potoczków, a nawet agenci moskiewskiego rządu. W Polsce — burżuazya i rządy dotąd jeszcze wierzą w to silnie, że im się uda powtórzyć rok 46.

A jednak przewyższająca większość proletaryatu polskiego, są to robotnicy r o l n i, — i siła polskiej socyal-demokracyi na nich oprzeć się musi.

— Otrząsnąć te masy z dzisiejszego odrętwienia i apatyi, wyrwać je z więzów bałamuctwa i ciemnoty, uświadomić i zorganizować — jest naszem zadaniem, towarzysze — naszym politycznym obowiązkiem. —

A.

Powiastka ze śmietnika.

Był sobie śmietnik, wielkie śmietnisko, dokąd — z całej stolicy wywożono śmiecie. Cisza głucha zalega tę przestrzeń ponurą — przerywana od czasu do czasu krokami plądrującej tu i owdzie łachmaniarki, grzebiącej uporczywie w śmieciu za czemś, coby jeszcze wartość przedstawiało.

Pod starą wierzbą, dokąd nigdy promienie słońca nie dochodzą, w porzuconych tu gruzach wygodne schronisko mają pająki i stonogi. By przykre samotności chwile uprzyjemnić, mieszkańcy śmietniska zwykli opowiadać sobie o swojej przeszłości. I teraz przyszła kolej na cegłę, właściwie kawałek otłuczonej cegły, która cichym głosem poczęła opowiadać:

Nie zawsze byłam cegłą Przedtem byłam częścią olbrzymiej warstwy gliny porosłej z wierzchu gęstem zielskiem, które jak olbrzymi bałwan mocno już podkopany, nad głęboką aż trzy sążnie jamą się wznosiło. Podemną już dłuższy czas kopali glinę spoceni robotnicy, od rana do wieczora; w chwili spoczynku siadali w wykopanej przez siebie jamie, oparłszy się plecami o wilgotną ścianę, by posilić się suchym, czarnym chlebem — a niekiedy przynosiły im ich żony nieco barszczu i kartofli.

Jednego dnia robotnik zajęty kopaniem gliny, podkopywał tę warstwę, do której i ja należałam. Miał on żonę i dziecko. Często na ręku z dziecięciem przynosiła mu żona obiad, a on posiliwszy się, brał dziecko od matki i bawił się z niem wesoło. Jak oni byli mi drodzy. Robotnik miał chęć do pracy, motyka jego tylko się migała, a zajęty — nie uważał, że podkopał już nadto...

Ja czułam, że się sunę niżej i niżej, tłoczona ogromnym ciężarem gliny, wyżej odemnie będącej. Czuję, że spadam, a chciałam biedaka ochronić, nie wiedziałam jak.

Jeszcze kilka uderzeń motyką — zadudniło — i było skończone. Tam gdzie spocony młody człowiek pracował, był tylko bałwan gliny, który zwolna zsuwał się do dołu... Ja leżałam prawie na jego czole, słyszałam jego ostatnie westchnienia: moja żona, dziecko!...

Wykopali biedaka i płakała biedna wdowa i matka, opuszczona przez zabitego.

Po niejakim czasie odwieziono mię wraz z resztą gliny do cegielni, gdzie zrobiono ze mnie, czem właśnie jestem.

Uboga robotnica myśląca cały dzień o utrzymaniu swoich dzieci, zostawionych pod opieką sąsiadki, ugniotła mię i włożyła do formy i znowu czas jakiś leżałam na »placu«, bym się wysuszyła.

Wreszcie po wyschnięciu wsadzono mię do olbrzymiego pieca, gdziem zczerwieniała. Byłam dumna sama z siebie, dostałam bowiem kolor ciemno czerwony. Zachwycałam się sama sobą. Niezadługo, trzęsłam się na wozie drżąca ze strachu, że zostanę od mych towarzyszek zgniecioną na proch.

Ku wielkiej mojej radości, znalazłam się wreszcie razem z siostrami ułożoną w czworobok obok wielkiej nowobudującej się kamienicy.

Obryzgano nas wapnem, jakby trumnę do grobu i tak zostawiono, by sobie odpocząć. I tutaj widziałam nędzę i upokorzenie robotników o powalanych od wapna rękach i ogorzałych od słońca twarzach. Ich pożywieniem w owym czasie epidemii, były kiszone ogórki i kartofle, a czasem — czasem kieliszek śmierdziuchy.

Widziałam tuż obok mnie wznoszącą się budowę, gdzie jedna na drugiej leżały pozbawione wolności, wapnem spojone, me siostrzyce, i mnie taki los oczekiwał. Lecz w księdze przeznaczeń było inaczej.

Przyszedł pan jakiś o okrągłym brzuszku, na którym widniał złoty łańcuch od zegarka, i drugi jakiś o mniejszym już brzuszku i cieńszym łańcuszku, którego robotnicy nazywali budowniczym. Pan z grubym łańcuchem oglądał nas czas jakiś, poczem wziął mnie w rękę i rzucił z całej siły o ziemię. Upadłam uderzywszy się o ścianę tak, aż mi się rożek odbił. Jęknęłam z bólu. Budowniczy poskoczył do mnie prędko, — widocznie na ratunek — a podniosłszy, podał właścicielowi. Ten wziął mię do ręki, oglądnął, upuścił w piasek i rzekł:

— Dobra, widzę to. Do góry z niemi!

Na to budowniczy: Są i lepsze jeszcze.

Pomocnik w podartej bluzie i niemiłosiernie powykręcanych butach, a bardzo nędznym wyglądzie, nałożył mię wraz z innemi do tak zwanej kozy i za chwilę czułam, że wznoszę się w górę.

Doznałam wielkiej radości, być częścią wielkiego domu, częścią pokoju, gdzie może szczęśliwi mieszkać będą, może — może — zdarzy mi się słyszeć szczebiot kochającej się pary! Lecz próżna radość. Przekonałam się, że aż na czwarte wynoszą mię piętro, na samo poddasze — ażeby słuchać westchnienia i hurkotu w brzuchu głodnego dyurnisty, lub suchotniczy kaszel i łkanie biednej szwaczki! Być świadkiem ludzkiej nędzy — upodlenia może! wolałabym niedoczekać!

Pomocnik złożył nas wysoko na rusztowaniu, obok murarzy na deskach. Ja leżałam między cegłami. Murarz, który nas potrzebował, brał po jednej cegle; co wziął jednę, to czuję, że się usuwam — a podemną przepaść...

Nie mogłam się wstrzymać, uczułam, że lecę. Rozległo się wołanie «na bok!» Padłam na głowę niosącej wapno pomocnicy, a potem opodal na piasek.

Nastało zamięszanie. Zlewali wodą biedną, cucili — lecz nie ocucili. Przyszedł lekarz, oglądnął ranę i skonstatował śmierć...

Szkoda starej Walentowej....

Na mnie długo nikt nie spojrzał, aż jednego wieczora koło budowy idący rębacz wyswobodził mię z piasku i zabrał z sobą.

Miał słabą żonę, a ja miałam za obowiązek ogrzewać jej nogi zawsze zziębnięte. Leżałam całe dnie i noce w barłogu, od czasu do czasu wyjmowana i ogrzewana na kuchni, później w szmaty owinięta, ogrzewałam nogi kobiety.

Po kilku tygodniach mogła kobieta wstać. Dosyć mię ona nachwalić się nie mogła.

Czekałam, aż wdzięczna kobieta w ramki mię oprawi, ale stałam się bezużyteczną i pięknego ranku znalazłam się za parkanem.

Ztamtąd sąsiednia grajzlerka położyła mię jako podnożek u wschodu do swego sklepiku.

Widziałam tam różnych ludzi, biednych i mniej biednych; słyszałam skargi żon robotników, że ich mężowie mało zarabiają; prosiły o kredyt i narzekały na drożyznę. Nawet panie urzędnikowe, które za koronę pół grajzleru zakupićby chciały. Słuchałam wzajemnego oczerniania się kobiet. Uprzykrzył mi się taki żywot.

I czekałam, aż kto mię oswobodzi.

Szczęście mi sprzyjało, a ze mną i grajzlerowi.

Wygrał jakiś los — wnet dał do „Przeglądu“ inserat:

»że ma do zbycia intratny interes, dobrze idący handel, z wielkim dochodem, który wiele lat itd.«

Sprzedał wszystko i mnie i stonogi i pająki, razem z sekretem, który miał w komisie: „Sprzedawać biedakom mąkę stęchłą i zleżałą“.

Kupili sobie domek na przedmieściu z ogródkiem a mnie zostawili. Grajzlerka dziś „jejmość pani“.

Nowy właściciel zaopatrzył drzwi kamiennym progiem a mię wyrzucił na podwórze, gdzie długo nikt o mnie nie pomyślał.

Gdyby nie rozpustni chłopcy, byłabym tam leżała, jak dziś tutaj leżę.

Ale chłopcy wyniosłszy mię na ulicę, zatamowali mną płynącą w rynsztoku wodę, by urządzić sobie stawek. Przechodzący strażnik wyrzucił mię z rowu, rozpędziwszy chłopców. I znów leżałam czas jakiś na ulicy. Aż raz nad wieczorem stał się nademną taki krzyk i hałas, żem ze strachu straciła przytomność...

Nagle ktoś mię podniósł ciężką, twardą dłonią i cisnął daleko — daleko w szybę jakiegoś okna. W pokoju rozbiłam się na dwa kawałki o głowę jakiegoś jegomościa i ległam wreszcie na ładnym kobiercu...

Na drugi dzień powędrowałam do sądu kryminalnego, jako »dowód«.

Owinięto mnie tutaj w papierek — i grzecznie, bardzo grzecznie się obchodzono...

Lecz nie długo szczęścia, ten, któremu mnie jako corpus delicti pokazywano, został skazany.

A mię wyrzucono do śmieciska, zkąd dostałam się na wóz śmieciarza, który mię wywiózł tu do was. Nie masz już dla mnie nadziei wyzwolenia, nie zaznam szczęścia, nie obaczę sądu!

Cegła dopowiedziała.

Co się z nią dalej stanie — kto wie! może i ztamtąd kto ją wyswobodzi.

Może jaki chudy dyurnista na proch ją roztłucze do zasypywania aktów. A tak pragnienie jej byłoby wysłuchane, a ona, acz w ułamach, dostawszy się do rąk dyurnisty, dostałaby się prędzej, czy później do — sądu!

Sokal 27. marca.

Orzeł.

Kuźnia.

Gorącym żarem słońce pali
I blaskiem świat oblewa,
Świetlane mgły majaczą w dali,
W purpurze płoną drzewa.

Tam w lesie barwne mrowie ludzi
Wśród cienia ponad wodą;
Wszak pracą dziś się nikt nie trudzi,
Lecz igra wraz z przyrodą.

Muzyka, śpiewy, gra wesoła,
Wśród pląsów mknie godzina —
Radosne śmiechy brzmią dokoła
I amor łuk napina...

A słońce ciągle żarem dyszy
I blaskiem świat oblewa,
Dokoła nic nie zmąca ciszy,
Ni wietrzyk nie powiewa.

Pod wsią przy drodze kuźnia stoi,
Komin sterczy czarny,
A jego szczyt dym gęsty stroi, —
Choć dzisiaj dzień tak skwarny.

Tu ludzie mają dzień roboty,
Czarni jako smoła,
Skry się sypią, huczą młoty,
A im pot ścieka z czoła.

Na piersiach ciężko, ramię mdleje,
Lecz robić trza dla chleba...
A słońce blasków potok leje
I żary sypie z nieba.

R. L.

Kobiety w obec organizacyi.

Wielki przemysł w postępowym swoim rozwoju jest czynnikiem na wskróś rewolucyjnym; zaraz w początku swego istnienia zniszczył on system feudalny, a teraz jeszcze rozkłada i niszczy powoli ale statecznie wszystkie stare i przeżyte formy.

Jeśli w sferach burżuazyi jeszcze ciągle mówią o świętości rodziny, o szczytnem i wielkiem powołaniu kobiety u domowego ogniska, to jest to faktycznie tylko ironią w obec milionów rodzin proletaryatu, które wielki przemysł rozbił na atomy. Burżuazya lubi wypowiadać szczytne frazesy o zadaniu kobiety, jako żony, matki i gospodyni, ale ta sama burżuazya, gdy chodzi o zysk, nie wahała się oderwać żony od

męża, matki od dzieci, gospodyni od domu; nie wahała się zmniejszaniem płacy kobietom, czynić je współzawodniczkami męża, a dzieci współzawodniczkami rodziców. Kobieta wypiera powoli ale statecznie mężczyznę z przemysłu, a dzieci wypierają kobiety, tam więc gdzie istnieją takie antagonizmy, czyż może być mowa o jakiejś harmonii w pożyciu rodzinnem, czyż ta rodzina nie jest tylko jakimś cieniem — bo w rzeczywistości rodzina przestaje istnieć, gdyż z łona jej wyrywają kobietę.

Robotnica jest w stokroć gorszem położeniu aniżeli robotnik, nietylko, że otrzymuje niższą płacę, ale nadto natężająca praca działa na nią o wiele szkodliwiej niż na organizm mężczyzny. Naraża ona na szwank nietylko własne zdrowie, ale także zdrowie dzieci, które rodzą się chore i wątłe a bardzo często i nieżywe.

Nawet gdy dzieci proletaryatu rodzą się zdrowe, czyż robotnica może wypełnić owe szczytne zadanie matki wychowawczyni; czy jest ona choćby w stanie przypilnować dziecka, by na czas otrzymało pokarm, by nie uszkodziło się fizycznie. Ona nie ma na to czasu, troska o chleb zmusiła ją do opuszczenia domu od świtu do nocy, a dzieci jej pozostają na łasce losu i rosną jak dzikie rośliny. Czyż można nawet obliczyć, ile to talentów idzie w ten sposób na marne, a ile przysparza się ludzkości zbrodniarzy i przestępców?

W wielkich miastach przemysłowych, w Wiedniu, Pradze i t. d. i robotnice zrozumiały, że należy protestować przeciwko krzywdzie i wyzyskowi i dążyć całą siłą do ich usunięcia. We Wiedniu mają robotnice swoje własne pismo, które je poucza i uświadamia; tam też zeszłego roku 600 robotnic zorganizowało strejk i wyszło z niego zwycięsko. Tam w dniu 1 maja, gdy proletaryat podnosi hasło powszechnego głosowania i 8-godzinnego dnia roboczego, i robotnice łączą się z nim solidarnie, bo rozumieją, że tylko wielka, złączona masa ludu może przyspieszyć zwycięstwo idei, o którą walczy.

O ile serca nasze napełniają się radością i dumą w owym dniu, w którym proletaryat oblicza niejako swe siły, gdy widzimy rok rocznie wzrost owej potęgi, o tyle przygnębiające robi wrażenie, że kobiet w tej armii tak mało, a jednak są one z wyzyskiwanych najbardziej wyzyskiwanemi.

Czy wina leży w nich samych?

Prawdopodobnie nie; pewnie hasła walki, podjętej u nas od niedawna nie dotarły jeszcze do nich. Bo czyż może się usuwać od walki o powszechne prawo głosowania ta, której synów zaciągają na 3 lata do wojska, której dzieci źle kształcą w szkołach, która przy kupowaniu najniezbędniejszych pokarmów czuje ciężar podatków pośrednich. Czyż nie musi być jej gorącem życzeniem, by w parlamencie zasiadali posłowie, którzyby się domagali ustaw ochronnych dla robotników, mianowicie 8-godzinnego dnia pracy, zakazu pracy nocnej, wykluczenia kobiet z zajęć szkodliwych dla kobiecego organizmu, zakazu pracy dzieci niżej lat 14. Czyżby usuwała się od manifestacyi o osiągnięcie 8-godzinnego dnia pracy ta, której praca zaczyna się o świcie a kończy w nocy, która nie może zdobyć sobie pokarmu dla ciała, a tembardziej dla ducha, której dzieci rosną dziko i bez opieki?

Jeśli kobiety nie wystąpiły dotąd solidarnie ze swymi mężami, ojcami i synami, to tylko dlatego, że nikt ich jeszcze o tem nie pouczył. Niechaj tylko zrozumieją, że tu nie chodzi o żadne mrzonki, ale o zdrowie ciała i wykształcenie ducha, o dobrobyt własny i o wychowanie dzieci; wówczas to zbudzi się tysiące takich, które będą same walczyły i pracowały o przyspieszenie zwycięstwa, które będą dodawały otuchy i zagrzewały do czynu małodusznych.

Choćby nie uwierzyły w rychły skutek swych usiłowań, to przecież nie ustąpią, bo będą dążyły do osiągnięcia lepszej doli dla swoich dzieci, a któraż kobieta nie dołożyłaby wszystkich sił, aby jej dzieciom lepiej było?

Rozalia Niedźwiedzka.

W odpowiedzi „młodym przyjaciołom“.

W numerze 8-mym »Życia«, jedynego organu polskiej młodzieży w kraju, spotykamy trzy artykuły, w których tak zjadliwie, z takim brakiem taktu i z nieszczerością, mającą wcale niezręcznie maskować niechęć kilku jednostek do socyalizmu — uderza się na partyą socyalnodemokratyczną, że czujemy się w obowiązku odpowiedzieć na nie krótko, nie w naszym interesie, ale w interesie tej postępowej młodzieży, która nie może się zgodzić na treść owych artykułów.

Naprzód musimy zrobić kilka uwag, aby wyjaśnić, zkąd nagle w «Życiu» taka nienawiść do socyalizmu się pojawiła. Wszak w Nrze 7-mym z dnia 4 kwietnia „Życie“ z otwartą sympatyą stanęło po stronie socyalistów, właśnie wtedy, kiedy »Dziennik polski« i „Gazeta narodowa“ wraz z urzędową „Gazetą lwowską“ napadły zajadle w sposób przynoszący zaszczyt prawdziwym gadzinowcom, wyciągając w artystycznej swej bezczelności zarzut »niepatryotyzmu« przeciw tow. Daszyńskiemu.

„Życie“ z szlachetną odwagą właśnie wtedy na parę dni przed 8. kwietnia zacytowało ustęp z odezwy partyi socyalnodemokratycznej o „wolnej Polsce ludowej“ i o tem, że „nie będziemy ratować szczątków ruiny szlacheckiej“. Tenże sam numer »Życia« nazywa dalej wywody kol. Stapińskiego „prawie naiwnymi“ wtedy, kiedy usiłował zwalczać twierdzenia socyalistów w sprawie ludowej.

Co więcej! reprezentanci „młodzieży“, których z powodu ich uczciwego zachowania się wobec „mamutów“ (Romanowicze, Janowscy, Goldmany itd.) z okazyi obchody styczniowego, wykluczono od obcowania z komitetem, urządzającym zwykle wszystkie narodowe obchody, ci reprezentanci złączyli swe siły z komitetem partyi socyalnodemokratycznej i byli tak szczerymi, że nie tylko dwóch mowców swoich do wyboru nam przedłożyli, ale tekstu mowy, którą mieli na naszym obchodzie rocznicy Kościuszkowskiej wygłosić, najpierw nam udzielili.

Z całą ofiarnością podjęła się młodzież wykonania artystycznej części wieczorku i zaiste zyskała sobie za to szczerą u robotników sympatyę. Była to pierwsza dobra sposobność, żeby ta młodzież raz wreszcie wzniosła się do wspólnej akcyi z ludem roboczym — z nizin dotychczasowego błąkania się wśród pseudopatryotycznych frazesów.

Cóż prostszego, że organ partyi socyalnodemokratycznej zrozumiał motywa szlachetniejszej części młodzieży i że w takiej chwili nie patrzył na tych kilku zawistnych a zarozumiałych, którym się to bratanie z ludem nie podobało.

To było dnia 8. kwietnia.

Kiedy w tydzień potem „młodzież“ zwołała dalszy ciąg wiecu, było moralnym obowiązkiem socyalistów przyjść jak najliczniej na ten wiec i wziąć w nim żywy udział, a to z następujących powodów, które wystarczą dla każdego roztropnego człowieka:

1) Wiece „młodzieży“ były publiczne i omawiały ważną dla nas sprawę;

2) Przez dwie poprzednie niedziele braliśmy bardzo żywy udział w debatach wiecowych i obowiązkiem naszym było doprowadzić te debaty do jakiegoś rezultatu, aby nie stały się one czczą gadaniną;

3) Przez dwie niedziele byliśmy równouprawnieni zupełnie i uchwalono wogóle tylko dwie i to nasze rezolucye (wiedeńska rezolucya o powszechnem głosowaniu i wniosek Daszyńskiego o stanowisku „młodzieży“ do lewicy sejmowej); cóż dziwnego, że i na trzecią niedzielę przyszliśmy znowu z naszą rezolucyą?

4) Każdy roztropny człowiek powinien był nam być wdzięcznym, że agitacyą naszą sprowadziliśmy wiele ludu, czy to ze studentów, czy z pośród robotników, na wiec młodzieży, który bez naszej agitacyi, byłby chyba sejmikiem z kilkudziesięciu ludzi złożonym, tak jak to było pierwszej niedzieli.

Zkądże taka złość nagle w 8 nrze „Życia“!? Czy dlatego, że ogromną większością głosów przeszła uchwała proponowana przez socyalistów? Niech nam kto wskaże jeden ustęp rezolucyi tow. Daszyńskiego, któryby narzucał młodzieży jakieś niegodne jej zobowiązania! któryby im polecał wstąpić do partyi socyalnodemokratycznej, lub któryby mówił o „rozbiciu młodzieży w puch“, jak pisze „Życie“.

Zkąd taka trywialna napaść na intencye socyalistów w obchodzie Kościuszkowskim? Dlaczego „Życie“ idzie trybem „Dziennika“ lub „Przeglądu“ i tworzy oszczercze idyotyzmy, o których wiedzą, że tow. Daszyński ich nigdy nie mówił.

Nie wywlekamy tu spraw zakulisowych, ale gdybyśmy nawet tych kilku »ludowców« nie znali, zdradziłaby ich głęboka pogarda ich dla ludu. Jeżeli chcą robotników poniżyć, nazywają ich „**parobkami stajennymi!**“ Ci, którzy mówią, że idą do ludu, do ubogich, do parobków, ci równocześnie używają słowa: „parobek“, jako obelgi!

Och — marne, nędzne to indywidua z pośród młodzieży, które traktują lud jak — członkowie końskiego kasyna!

Ci mają być przyszłymi przyjaciółmi parobków?!

Nie mówimy, żeśmy się pomylili, twierdząc, że większość młodzieży jest zdolną do porządnych, ludzkich uczuć, nie gardzących „parobkami“; nie żałujemy ani jednego słowa naszych mowców, zwróconego do tej młodzieży; „zawcześnie“ zwróciliśmy się jedynie do tych kilku, z których jeszcze „pleśń“ szlachecka nie zlazła, w których duszach jeszcze „zimno i ciemno“, a którzy zdobyli się na napisanie owych mizernych artykułów w „Życiu“.

Zamiast dalszej polemiki, przytoczymy fakt, że „Dziennik polski“ pochwalił niskie popędy autorów artykułów w „Życiu“, nazywając je „słuszną odprawą“. Z jednej strony „parobcy“ uchwalający postępową rezolucyę, z drugiej strony autorzy artykułów w „Życiu“ w towarzystwie najlichszych reprezentantów burżuazyjnej gwardyi pismaków.

Po której stronie stanie „młodzież polska“?

Sprawy bieżące.

Dwa wielkie zgromadzenia robotnicze odbyły się we lwowskim ratuszu w niedzielę 22. bm. Rano o godz. 10 zagaił zgromadzenie, zwołane przez nową partyę „robotniczą socyalistyczną“ ob. Daniluk, którego obrano przewodniczącym, na sekretarzy powołano Wunderlicha i Sziflera, zast. przew. był Sturkow.

Obrady rozpoczęły się interpelacyą p. Gaja, dlaczego komitet porządkowy nie chce wpuścić na salę znanego Eljasiewicza. Przewodniczący zarządził wpuszczenie tego pana.

Ob. Szifler mówił o znaczeniu 1. maja, po nim zabrał głos ob. Breiter i obwieścił, iż nowa partya na pierwszym planie swoich żądań stawia: Wolność prasy! Na pierwszem miejscu dlatego, bo inaczej nie mogą robotnicy odezwać się głosem olbrzyma. Mówił dalej o konfiskatach, kaucyach, stemplu, kolportaży i postawił rezolucyę, by na zgromadzeniu w d. 1. maja jednym z punktów porządku dziennego była sprawa wolności prasy.

Dalszym mowcą był ob. Sturkow, który oświadczył, iż nie jest przeciwny domaganiu się powszechnego głosowania, choć ono nie przynosi robotnikom korzyści, ale uważa, że trzeba w d. 1. maja domagać się ubezpieczenia na starość, a także zniesienia pracy akordowej. Stawia odnośną rezolucyę, zapewniając, iż nowa partya nie chce szkodzić robotnikom, a każda droga prowadzi do celu.

Po Sturkowie zabrał głos tow. Hudec, wykazując, że jeżeli partya socyalno-demokratyczna stawia na porządek dzienny zgromadzenia majowego dwa postulaty tj. powszechne prawo wyborcze i 8-godzinny dzień roboczy, to czyni to świadomie, rozumiejąc, iż uzyskaniem tych dwu żądań otwiera sobie drogę do uzyskania reszty. Poruszone tu sprawy są objęte programem socyalnej demokracyi, ale nietylko te, lecz i wiele innych niemniej ważnych i pilnych. Wobec tego, iż nowa partya żadnych zasadniczych zmian i zapatrywań na sprawy nie podnosi, postawił wniosek: Zgromadzenie uchwala uroczystość 1. maja obchodzić wspólnie z socyalną demokracyą pod jednym sztandarem. (Oklaski).

Ob. Breiter oświadcza, iż nowa partya nie różni się programem od socyalnej demokracyi, ma jednak pewne skrupuły co do taktyki.

Ob. Czabak wystąpił ostro przeciwko twórcom nowej partyi, zarzucając zmienność poglądów, na co odpowiedział ob. Szifler, że poglądy polityczne ludzi są zmienne, i że nowa partya chce uzupełniać pracę partyi socyalno-demokratycznej.

Tow. Daszyński poparł wymownie wniosek Hudeca i wykazywał, że jeśli nowa partya ma ten program co socyalno-demokracja, to nic nie stoi na przeszkodzie zlaniu się jej z ostatnią. Rozdrabnianie sił dla względów osobistych powinno ustać, a interes ogólny polega na jednolitem działaniu.

Po krótkich przemówieniach Breitera, Sturkowa i Babiarza, który popierał żądanie 8-godzinnego dnia roboczego, wobec spóźnionej pory i sporego zastępu zapisanych mówców, przyjęło zrromadzenie prawie jednogłośnie wniosek tow. Hudeca i odroczyło dalsze obrady do następnej niedzieli. —

Popołudniu odbyło się zgromadzenie ludowe, zwołane przez socyalno-demokratyczny komitet partyjny. Sala ratuszowa i galerye były szczelnie zapełnione. Przewodniczył tow. Lipiński, który powołał na sekretarzy tow. Filowicza i Świtajłę. Pierwszy referował tow. Mańkowski o znaczeniu pierwszego maja i o potrzebie agitacyi za 8-godzinnym czasem pracy. Postawioną przez referenta rezolucyę za święceniem 1. maja przyjęli zgromadzeni jednogłośnie wśród oklasków. Drugim referentem był tow. Żelaszkiewicz, który w półtoragodzinnem przemówieniu złożył wyczerpujące sprawozdanie z obrad kongresu o powszech. prawie wyborczem i strejku generalnym. W końcu referował tow. Fraenkel o prasie, organizacyi i luźnych wnioskach, uchwalonych na kongresie wiedeńskim. Po dyskusyi, w której wzięli udział tow. Ziołecki, Kozakiewicz i Hubisz, zgromadzeni jednogłośnie uchwalili, że przyjmują do wiadomości sprawozdanie delegatów i przyłączają się w zupełności do uchwał, powziętych na IV. międzynarodowym kongresie austryackiej socyal-demokracyi.

Reklama dla naganiaczy (podmajstrzych). W Numerze. 4. „Robotnika“ zamieściliśmy artykulik pod tytułem „Wystawa krajowa a robotnicy ciesielscy“, w którym napiętnowaliśmy postępowanie niektórych przedsiębiorców i ich podmajstrzych i przyznać trzeba, że choć w części do tego czasu postępowanie tychże, dzięki solidarności robotników zmieniło się na lepsze, przynajmniej powierzchownie, ale nikt z uczciwych ludzi by nie uwierzył, że znajdują się takie bezczelne indywidua, które się szczycą tem, gdy publicznie są napiętnowane. Do takich należy Marcin Siekliński naganiacz (podmajstrzy) ciesielski u budowniczego pana Dolińskiego, który po artykule wyżej wymienionym, a i obecnie często powtarza, że to, iż go przedstawiono w „Robotniku“ jako wyzyskiwacza i brutala, przyniosło mu korzyści moralne i materyalne, gdyż panowie pryncypałowie więcej go poważają (?) i lepiej płacą!

Nie potrzebujemy więcej nic do tego dodawać, jak p. Marcinowi Sieklińskiemu powinszować osiągniętych zaszczytów, a pryncypałom „dzielnego sojusznika“.

Oprócz powyższego, mamy jeszcze jeden fakt do zanotowania z „Wystawy krajowej“, który do komitetu wystawowego adresujemy. Przy robotnikach zatrudnionych przy robotach ziemnych jest naganiacz (dozorca) Karpiński, który używa oprócz najbrutalniejszych wyrazów, często pięści i laski w traktowaniu robotników. Postępowanie Karpińskiego obraża oczywiście w wysokim stopniu pracujących, toteż sądzimy, że szanowny komitet zarządzi odpowiednio i uwolni robotników od tej zmory, jakim jest Karpiński, którego swoją drogą ostrzegamy, iż „kij ma dwa końce“. *ż. k.*

Robotnicy masarscy we Lwowie pozostają w najprzykrzejszych stosunkach, a niema władzy, którąby nadużycia na nich praktykowane ukróciła. Pracują oni od godziny 4 rano począwszy, bez przerwy po 18 i 20 godzin, a często cały dzień i całą noc bez wytchnienia. Ludzkie siły przechodzącą pracę tę wykonują oni w tak zwanych warsztatach, niechlujnych i zdrowiu szkodliwych, za lichem wynagrodzeniem, a w dodatku traktowani są przez panów majstrów, w sposób, w jakich przeciętnie wychowany człowiek nie traktuje najpospolitszego zwierzęcia, nadto niektórzy panowie majstrowie posuwają się tak daleko w obec swoich białych murzynów-robotników, że rozporządzają nawet ich wolnym od pracy czasem. To też stan taki niewolniczy dochodzi do granic ostateczności, i objawia się u nich niezadowoleniem i chęcią poprawienia losu swojego, co niezawodnie doleciało uszu wielce szanownego broniciela możnych, redaktora *„Głosu wolnego“* i ten jednym zamachem pióra natarł na robotników masarskich wraz z przyjacielem swoim *„Dziennikiem polskim“*, grożąc im robotnikami wojskowymi. Czy komenda wojskowa stoi pod rozkazami, chociażby jak w tym wypadku, oficera Barańskiego-Ostaszewskiego i jego adjutanta pana Śliwińskiego — tego nie przypuszczamy nawet. Tymczasem mogą połączonemi siłami tak zwane: *„Dziennik polski“* i *„Głos wolny“* — nakiwać robotnikom masarskim palcem w bucie.

Towarzysze introligatorscy, którzy zastanowili pracę na dniu 14. b. m. u majstra M. Żeńczykowskiego z powodu nieregularnej wypłaty i kiepskiego obchodzenia się z nimi, są zmuszeni nadal strejkować, gdyż pan ten woli sam na dziady pójść i z nich dziadów porobić!? (dosłowne wypowiedzenie Żeńczykowskiego) niż zgodzić się na regularną wypłatę i t. d. W chwili gdy to piszemy, pan fabryhant nie mogąc tu żadnego robotnika złowić, udał się na polowanie do Krakowa. Czy tam się uda polowanie i jak się sprawa cała zakończy, o tem później doniesiemy. Ze swej strony musimy tylko przyklasnąć robotnikom introligatorskim, że świadomi swej sprawy, pomimo kiepskiego położenia, w jakiem się znajdują, ani na chwilę nie odstępują od swych słusznych żądań.

Dwa obrazki z Borysławia. Otrzymaliśmy następujące pismo: Dnia 22. doniósł niejaki G., nauczyciel prywatny, tutejszej żandarmeryi, że pewien H. F. szynkarz, u krórego zawsze jest na stancyi 50 robotników, którym ma swój znaczny majątek zawdzięczać, za przekroczenie, że robotnik skradł mu flaszkę wódki, zabrał go wraz z swoim synem do osobnego lokalu i tak go bił, iż tenże wyzionął ducha na miejscu. Zwłoki miał H. F. wrzucić do szybu. Aresztowano wprawdzie donosiciela, albowiem sam się przyznał, że w morderstwie współdziałał, nareszcie i H. F., ale głosy jakie się koło domu odezwały, dotknęły mnie do żywego. „Cóż to takiego?“ — dziwił się pewien dozorca — „przecież zabił tylko robotnika“. Śledztwo jest w toku, z którego to powodu nie mogę więcej pisać.

Dnia 23. marca szedł robotnik Popiel z Tustanowiec do Borysławia i przechodząc przez moczary koło Wolanki, wpadł do szybu, który od dwu lat nie był nakryty, i utonął. Ciekawym jest fakt, że od niejakiego czasu procesujące się strony o prawo własności tego szybu, same teraz bez sądu rozstrzygnąćby rade ten spór i jedna twierdzi obecnie, że szyb jest własnością drugiej, druga zaś przeciwnie twierdzi, a biedny inspektor kopalń ma dużo w tej sprawie do czynienia, chcąc z swem sumieniem się pogodzić. — Oj raczcie towarzysze lwowscy do nas zaglądnąć. Towarzyszka *S. A.*

W Otynii zaczyna świtać. Dnia 9 kwietnia odbyło się zgromadzenie poufne przy dość licznym udziale towarzyszów, na którym referował tow. Moos znaczenie dnia 1 maja i zachęcał towarzyszy do święcenia dnia 1 maja. Później przemawiali tow. Zak i Buczański. W końcu uchwalono jednogłośnie święcić 1 maja i starać się jak najusilniej o założenie towarzystwa „Siła“.

W niedzielę 29. kwietnia br. odbędzie się w sali ratuszowej o godz. 10 rano Walne Zebranie Zgromadzenia Towarzyszy murarzy, cieśli, kamieniarzy itd.

Nowy proces Stanisławowski. W ostatniej chwili donoszą nam, że wszyscy oskarżeni o tajne stowarzyszenie zostali uwolnieni. Szczegóły w następnym numerze.

W imieniu Jego Cesarskiej Mości. C. k. Sąd krajowy dla spraw karnych orzekł na mocy §§. 489 i 493 p. k. i §. 37 u. pr., że treść artykułów umieszczonych w Nr. 7 czasopisma »Nowy Robotnik« z dnia 13-go kwietnia 1894 pod napisem: »Nasze święto«, „IV. międzynarodowy kongres austryackiej socyal-demokracyi« i „odezwa do ludu roboczego“ zawiera znamiona zbrodni z §. 65. a) i b), tudzież znamiona występku z §. 302 u. k., zatem usprawiedliwioną jest zarządzona przez c. k. Prokuratora rządowego konfiskata tego czasopisma. Wskutek tej uchwały wzbronione jest dalsze rozpowszechnienie tego artykułu a zabrany nakład ma być zniszczony. Powody: W artykule „nasze święto“, autor wzywa poszczególne klasy społeczeństwa, aby, nie mając nic do stracenia, zajęły wobec rzekomo uprzywilejowanych klas postawę groźną, czem pobudza poszczególne klasy społeczeństwa do nieprzyjaznych kroków przeciw sobie — w „odezwie do ludu roboczego“ autor tejże podzieliwszy znów społeczeństwo na inne klasy niż to uczyniono w artykule „nasze święto“, zgadza się z tendencyami i zamiarami artykułu „nasze święto“ w tym kierunku, że i on widzi cały szereg nieprawidłowości w ustroju klas społecznych i zestawiając rzekomo niezasłużone korzyści jednych, z rzekomo niezawinionymi stratami drugich, jątrzy i pobudza te klasy przeciw sobie. W obu artykułach tych mieszczą się zatem znamiona występku z §. 302 u. k. Nareszcie w artykule pod tytułem „IV międzynarodowy kongres austryackiej socyal-demokracyi“ autor przytaczając rzekome przemowy mowców na owym kongresie, powtarza rzekomo z owych mów ustępy w widocznym zamiarze wzbudzić wzgardę i nienawiść przeciw obecnemu systemowi rządu i zachęcić masy do gwałtownego wystąpienia przeciw obowiązującym ustawom.

Artykuł ten mieści zatem w sobie wszystkie znamiona zbrodni w §. 65 lit. a) i b) u. k. przewidziane — zaczem zarządzoną i wykonaną przez c. k. Prokuratoryę Państwa konfiskatę powołanych wyżej artykułów w zupełności zatwierdzić należało.

Lwów d. 19. kwietnia 1894.

(Podpis nieczytelny).

Dzisiejszy numer „N. Robotnika“ kosztuje 10 ct.

Z drukarni Zygmunta Golloba we Lwowie.